

Teksty Drugie 1995, 2 , s. 79-86



# Romantyzm – jaki?

Lidia Burska

## Romantyzm – jaki?

Wydana w KUL-owskiej serii „Studia Norwidiana” książka Zofii Stefanowskiej<sup>1</sup> przypomina i gromadzi szkice i referaty, rozproszone dotychczas w wielu różnych miejscach. Wszystkie artykuły łączy wspólna intencja „przywrócenia Norwida historii (...) polskiego wieku XIX”, jak pisze w *Usprawiedliwieniu* autorka.

Dziś wydaje się, że to miejsce jest oczywiste i bezsporne. W szkole twórczość poety omawia się zaraz po dziełach Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, a samego autora honoruje tytułem „czwartego wieszca”. Krytyczne wydanie jego *Pism wszystkich*, w edytorskim opracowaniu Juliusza W. Gomulickiego, jest powszechnie dostępne. Zatem praca nad przywracaniem Norwida historii literatury polskiej, a także świadomości literackiej, praca, w którą trzydzieści lat temu włączyła się Zofia Stefanowska, wydaje się nie tylko zakończona, lecz i zwieńczona sukcesem.

A jednak... Wznowione po latach szkice zachęcają do małego rachunku sumienia, do ponownego zastanowienia się nad, z pozoru oczywistym i bezspornym, miejscem Norwida w polskim romantyzmie.

Nie zamierzam podważać – tak znakomicie i trafnie przez Stefanowską dowodzonych i argumentowanych związków poety z tą epoką. Argumentacji nie przypominam, ponieważ na trwałe weszła już do kanonu edukacyjnego. Romantyczność Norwida, jakkolwiek różna od Mickiewiczowskiej, jest już bezsporna.

Sprawą otwartą wciąż natomiast pozostaje problem romantyzmu z Norwidem. I to dziś wydaje mi się najciekawszą kwestią, podjętą przez Zofię Stefanowską.

W artykule *Norwidowski romantyzm*, napisanym prawie trzydzieści lat temu, autorka wyraziła swój sprzeciw wobec obowiązującej jeszcze wówczas „przednorwidowskiej” koncepcji romantyzmu, ukształtowanej „pod nieobecność poety Cypriana Norwida”. W obronie Norwida-romantyka pisała zaczepnie, z polemiczną pasją: „Jeśli nie pasuje

---

<sup>1</sup> Z. Stefanowska *Strona romantyków. Studia o Norwidzie*, Lublin 1993, Towarzystwo Naukowe KUL, „Studia Norwidiana”.

nam do modelu poezji romantycznej, to nie dlatego, że jest złym romantykiem, ale dlatego, że nasz model romantyzmu jest zły”.

Co złego jest w tym modelu? Jego jednostronność. W wersji kanonicznej, wieszczę jest to literatura historycznie związana z okresem Wiosny Ludów, jej wielkimi nadziejami i spektakularnymi militarnymi klęskami w całej Europie. Jest to literatura uwikłana w problemy walki wyzwoleniczej Polaków, świadomie niwelująca różnice między słowem poetyckim a czynem dziejotwórczym oraz — co się z tym ściśle łączy — kreująca wizje historiozoficzne o wielkim finalnym celu: zbawieniu ludzkości.

Otóż, ów wieszczy styl okresu Wiosny Ludów w potocznej, ukształtowanej przez szkołę, świadomości pozostaje jedyną obowiązującą do dziś wersją polskiego romantyzmu. Paradoksalnie więc, choć z uhonorowanym Norwidem, jest to wciąż romantyzm „przednorwidowski”.

„Wybiórcza” pamięć cechuje nie tylko potoczną, powszechną świadomość zbiorowości. Jeśli przypomnimy sobie manifestacje „szyderców” sprzed trzydziestu paru lat oraz bogatą literaturę z tej inspiracji zrodzoną: od *Wariacji pocztowych* Kazimierza Brandysa po późną esycystkę (tę z lat 80.) Andrzeja Kijowskiego, to spostrzeżemy, że głównym przedmiotem krytyki oraz emocjonalno-intelektualnej udręki naszych wybitnych pisarzy współczesnych pozostawał wyłącznie idcowo-patriotyczny kanon *Dziadów* części III i *Kordiana*. I doprawdy, nie byłoby w tym nic niewłaściwego, gdyby nie fakt, iż pisarze ci, jakże często zzymający się na „fatalne” dziedzictwo romantyzmu, zamiast odkrywać jego różnorodność, owej fatalności przeczącą, popadali zazwyczaj w niewolnicze naśladownictwo polemicznego stylu Brzozowskiego lub Gombrowicza oraz mało twórcze powtarzanie ich repertuaru obrachunków.

To, między innymi, decydowało o niemożności prawdziwego sporu, poważniejszych rewizji (choć były i takie), a w konsekwencji przeskadzało w twórczym przekształcaniu dziedzictwa przeszłości.

Bo czyż można było serio i z przejęciem traktować grę pozorów między obrońcami kanonicznej wersji romantyzmu (do nich w latach sześćdziesiątych należał przede wszystkim ideolog PRL-u Zbigniew Żałuski) a zwolennikami szybko kanonizującej się, antimickiewiczowskiej, wersji krytycyzmu czy rewizjonizmu. I jedni, i drudzy przedkładali po prostu mit nad chęć poznania prawdy. Niedawno, bo

ledwie kilka lat temu, we wstępie do Czytelnikowskiego wydania *Dzieł Mickiewicza*, Stefan Treugutt, upominając się o potrzebę podjęcia dialogu z Mickiewiczem (zamiast sporu o Mickiewicza), pisał z ironią i smutkiem:

[...] opatrzone najróżniejszymi objaśnieniami, zachwalany i bardziej wszechstronnie oświetlony niż cokolwiek już oświecający, żeglujcie Mickiewicz razem z nami, podobny do tych ozdobnych figur pozłacanych, jakie upiękniały w dawnych wiekach dzioby okrętów na postrach wrogom, na radość i sławę swojaków.

Nazwisko Mickiewicza można tu potraktować jako synonim całej epoki i kulturalnego dziedzictwa Polaków, jako najtrwalszy symbol polskości.

I Stefan Treugutt, i Zofia Stefanowska (i nie tylko oni, oczywiście) poszukiwali takiej historycznoliterackiej perspektywy, która – nie dezawuuując zupełnie naszych myślowych nawyków – czyniłaby je mniej apodyktycznymi, bardziej krytycznymi, a w konsekwencji pozwalałaby rozszerzyć nazbyt sztywną koncepcję romantyzmu o treści dotychczas zaniedbywane lub odrzucane. Taką intencję można odczytać z ich dawnych szkiców: Treugutta o Słowackim i Krasieńskim, Stefanowskiej o Norwidzie.

Ciekawe, że poszukując tematów badań i refleksji wokół, czy poza, zsakralizowanym centrum naszej kultury, oboje autorzy w końcu do tego centrum dotarli. Tak w każdym razie sądzić można po ich ostatnich wypowiedziach: rewelacyjnym *Mickiewicz* – *domowym i dalekim* Treugutta czy szkicu Stefanowskiej *Le génie du poète, le génie de la nation. Mickiewicz face à l'insurrection de novembre*. Widzę w tych tekstach, zapowiadających nowy, inny wizerunek Mickiewicza, nieugłaskanego, nieskonwencjonalizowanego i, co może najważniejsze, niewygodnego dla naszych sumień – przekorną replikę na werdykt Marii Janion o końcu romantyzmu, dekomponującą nasze wyobrażenia o tym dziedzictwie. Przede wszystkim jednak dostrzegam w nich mądry i dojrzały namysł nad naszą przeszłością i tradycją, które nie muszą być tylko materiałem do oklepanych czytanek, stereotypowych wizerunków dobrych (a jeszcze i prawdziwych) Polaków lub – dla przeciwwagi – przedmiotem prześmiewczej krytyki, zazwyczaj jednostronnie zwróconej przeciw straceńczym gestom bohaterskim. Tradycja i przeszłość w ujęciach Stefanowskiej i Treugutta stają się treścią dialogu, sprawiedliwego sporu, a w konsekwencji możliwością

pełniejszego samopoznania i samookreślenia — nie w relacji do zmistyfikowanych opowieści o dawnych czasach (to już było), lecz na miarę naszej, doświadczonej przez nas (zbiorowo oraz indywidualnie) historii.

Szkice Stefanowskiej o Norwidzie, czytane teraz, gdy znamy późniejsze prace autorki, zwłaszcza jej wypowiedzi o Mickiewiczu, wydają się ciekawe także jako fragment formującego się w jej twórczości wizerunku całego romantycznego dziedzictwa.

Przypominając polemiki Norwida, Stefanowska przedstawia go jako poetę dialogu, nie zaś „likwidatora” epoki. Jego spór z Mickiewiczem (najostrzejszy w okresie tworzenia legionu włoskiego) uważa za konflikt „wewnątrzromantyczny”. Norwid „antymickiewiczowski” jest dla niej także „mickiewiczowski”, bo taki właśnie był rodowód jego twórczości. Autorka skrupulatnie opisuje, jak przejęte po wielkich poprzednikach wzorce poetyckie czy idee historiozoficzne zrazu inercyjnie ciążyą nad twórczością autora *Promethidiona*, by stać się z czasem obiektem antymickiewiczowskich polemik, rewizji oraz impulsem do artystycznych samookreśleń — dokonywanych zawsze w kontekście romantyzmu.

Taki wizerunek poety reorganizuje historycznoliteracką koncepcję epoki, powstałą w czasach jego „nicobecności”. Znaczy to, że romantyzm wieszczów, jako zjawisko pewnego tylko okresu, nie może być traktowany jako jedyny styl czy kodeks ideowy pierwszej połowy XIX wieku. Twórczość Norwida, krytyczna wobec poprzedników, staje się impulsem do pełniejszego poznania epoki: jej idcovej różnorodności i skomplikowania. Na tym tle poezja wieszczów nie tylko nie traci, ale zyskuje nowe treści: staje się bardziej wieloznaczna, bardziej dramatyczna niż nasze potoczne o niej wyobrażenia.

Autor *Vade-mecum*, wstępujący w życie literackie już po załamaniu się haseł Wiosny Ludów, postrzega swą epokę w sposób bardziej — a może tylko inaczej — skomplikowany niż poprzednicy. Wedle jego słów, cytowanych przez Zofię Stefanowską, styl czasom nadają, oprócz haseł „romantyzmu”, „postępu”, „ludu”, także: elektryczność, koleje żelazne, cudzołóstwa i rzeczpospolite. I z całym tym wieloznacznym „inwentarzem” cywilizacji, dobroczynnym, ale i przerażającym musi poradzić sobie poeta (a może po prostu Polak) dziewiętnastowieczny. Podobnie myśleli również jego rówieśnicy, tworzący „Cyga-

nerię Warszawską”, co dokumentuje autorka w szkicu *Poeta wieku kupieckiego i przemysłowego*.

W artykule tym Stefanowska dokonuje również przesunięcia czy raczej wydłużenia perspektywy badawczej, uznając za reprezentatywne dla późnego romantyzmu zjawiska (którym dał wyraz Norwid i jego rówieśnicy), poczytywane dotąd za charakterystyczne dla modernizmu. Konflikt artysta–odbiorca, sytuacja sztuki w społeczeństwie industrialnym. Tutaj też świetnie uchwycone zostaje „rozpoznanie cywilizacyjne”, dokonane przez drugie pokolenie romantyków, rozpoznanie radykalnie różne od nieświadomej mistyfikacji ich poprzedników. Ci ostatni, wedle Stefanowskiej, uważali polityczne przeszkody w kontakcie ze wspólnotą za podstawowy wyznacznik pisarskiej kondycji; swą samotność wieszczów, proroków tłumaczyli narodową niewolą i cenzurą zaborców. Umykał im zupełnie fakt,

że stoją wobec zjawiska ogólniejszego, które – wraz z rozwojem kultury przemysłowej – w coraz większym stopniu kształtuje sytuację każdego pisarza. Jako specyficznie polskie skłonni byli traktować to, co było funkcją przemian cywilizacyjnych w całej Europie XIX w. W kategorii proroka narodowego i jego misji ujmowali nie tylko los emigracyjnych reprezentantów kraju niewolonego, ale i zespół zjawisk określanych przez relację między producentem literatury jako towaru a jego odbiorcą. W kategorii proroka narodowego i jego misji ujmowali problematykę wyobcowania społecznego pisarza.

Otóż, jak dowodzi Zofia Stefanowska, zarówno manifesty poetów „Cyganerii Warszawskiej”, jak „świadomość profesjonalna” Norwida przełamwały ten romantyczny schemat myślenia. W miejsce relacji, wieszcz–naród podsuwały inną: artysta–potencjalni odbiorcy i potencjalne zyski ze sprzedaży sztuki. Sama sztuka była dla nich manifestacją wolnego ducha, wieszczym słowem skierowanym do wspólnoty, ale była też towarem rynkowym.

To, dokonane przez młodsze pokolenie romantyków, „rozpoznanie cywilizacyjne” zaowocuje z czasem nie tylko prekursorskimi ideami sztuki uczestniczącej w codziennym życiu społeczeństw, ale także niepopularnymi wymaganiami, kierowanymi do własnego narodu, by nie zasklepiął się w przeszłości i niewolą nie tłumaczył duchowego marazmu, by czerpał z cywilizacyjnych przemian Zachodu, by – niezależnie od klęski politycznej – pozostał narodem twórczym, wnoszącym własne wartości duchowe do pracy całej ludzkości. Wymagania owe były nie tylko konstrukcjami myśli polemicznej, lecz

miały także ściśle praktyczny cel — stworzenie świadomej publiczności literackiej, która chłonie idee i płaci za książki.

Norwid i jego rówieśnicy widziani przez Zofię Stefanowską jako ci, którzy dopełniają epokę i jednocześnie zapowiadają następną, byłiby więc niezbędnym ogniwem w łańcuchu pokoleń, swą twórczością wypełnialiby „szyłek”. Konieczny „międzyczas” w chronologii epok. Gdybyż jednak byli!

Zdumiewając się błyskotliwym młodzieńczym debiutem Norwida oraz przedwczesną (w wieku lat trzydziestu), rozgoryczoną starością poety, pytając o to, dlaczego jego program poetycki nie stał się programem całego pokolenia i dlaczego to pokolenie między Mickiewiczem a pozytywistami było „nieobecne”, Stefanowska dotyka, jak sądzę, sprawy fundamentalnej dla kształtowania się naszej zbiorowej świadomości, dla tworzenia się pewnego stereotypu polskości, do dziś będącego wartością obiegową, potoczną. Nieobecność tego pokolenia miała i fizyczny, i duchowy sens. W tym pierwszym oznaczała po prostu represje. „Aresztowania, zsyłki, przedwczesne zgony, załamanie po klęsce Wiosny Ludów, emigracyjna nędza, terror w kraju — oto czynniki, które wprost fizycznie rozbiły tę potencjalną nową falę romantyzmu polskiego” — czytamy w szkicu *Norwidowski romantyzm*.

Ci, co zostali, zaprzepaścili — po świetnych nieraz debiutach — możliwości twórczego rozwijania literatury, wpadli w epigoństwo, powielali zbanalizowane już poetyckie wzorce poprzedników (przykładem Lenartowicz). Wtórność tej generacji była formą duchowej nieobecności. Ale — trafnie spostrzegła Stefanowska — pokolenie Norwida niejako zmuszone było do naśladownictwa. Bowiem autorytet poezji trzech wieszczów był nieporównywalnie większy niż jakiegokolwiek nowe szkoły czy prądy w sztuce.

„Być patriotą, a nie być naśladowcą Mickiewicza — jakżeż było trudno” — pisze autorka, rozumiejąca sytuację pokolenia. Czasy po klęsce (a nasza historia XIX i XX wieku składała się prawie wyłącznie z takich okresów) nie sprzyjały rewidowaniu tradycji wieszczów. Mierzyć się z nią znaczyło „mierzyć się z kodeksem patriotyzmu polskiego, z ostoją narodowego bytu”. Nie było to łatwe.

Tym większy szacunek należy się Norwidowi, który pierwszy odważył się przeciwstawić przymusowi epigonizmu w poezji, i nie tylko w poezji, bo także w samej historii — paradoksalnie bezdziejowej, bo

naśladowczej wobec nakazów militarnej walki o wolność w czasie odmienionym.

Jeśli dobrze rozumiem intencję Zofii Stefanowskiej, przywrócić Norwida polskiej historii XIX wieku znaczy nie tylko poszerzyć wizerunek epoki romantycznej o nowe, nieobecne w twórczości wieszczów, tematy, idee czy poetyckie wzorce, ale również starać się poznać i zgłębić zbiorową biografię jego *lost generation*.

Odnoszę wrażenie, choć autorka wprost nigdzie o tym nie mówi, że biografia tej generacji pełniej niż losy poprzedników wydaje się symbolizować historię *alla pollaca*. W pojęciu tego „straconego pokolenia” mieści się bowiem nie tylko pamięć o klęskach powstań, śmierci w bitwach, o więzieniach i zsyłkach, ale również doświadczanie tradycji narodowej jako pewnego przymusu. Objawiał się on, między innymi, w konieczności cenzurowania i zakłamywania życia. Objawiał się w nieciągłych biografiach, w których po niesfornej, zbuntowanej młodości, manifestującej własną inność następowała nagła i przedwczesna starość, zwykle uległa wobec psychicznych urazów wspólnoty.

Przymus objawiał się jednak najdotkliwiej w niemożności wyartykułowania wielu istotnych doświadczeń, nie mieszczących się w patriotycznym kanonie, więc objętych milczeniem, nieobecnych w świadomości zbiorowej.

O misji tajnej mówcie, o małpach nie mówcie — zwracał się do potencjalnych komentatorów swej dziwnej biografii bohater *Wariacji pocztowych* (który w niewoli tureckiej będąc, mieszkał w jednej klatce z małpami). To bardzo dobra pointa dla naszej zmystyfikowanej samowiedzy, samowiedzy którą Norwid tak bardzo chciał zmusić do samokrytyki i pracy nad sobą.

Zrozumieć więc romantyzm z Norwidem, to nie tylko wypełnić historycznoliterackie luki i zaniedbania. To także, w dużej mierze, przyrzec się raz jeszcze, i może inaczej, genealogii nas samych, zobaczyć w stuletniej perspektywie nasze polskie niespełnienia, urazy i skazy, naszą historię sekretną, nie zawsze harmonizującą z patosem poezji tyrtejskiej, nasze duchowe lenistwo i obłudę, chętnie wciąż usprawiedliwiane powinnościami wobec narodu, romantycznym dziedzictwem i niesprawiedliwą historią.

Namysł nad biografią i twórczością autora *Rzeczy o wolności słowa* przypomina nam prawdę banalną, ale mało praktykowaną, byśmy, pamiętając o naszym dziedzictwie, nie stali się niewolnikami pozorów



i zmyśleń; byśmy nie negując potrzeby samoakceptacji, nie popadali w samouwielbienie i pogardę dla innych; byśmy pamiętali, że w naszym zbiorowym rodowodzie wiele jest splecionych ze sobą wątków, i w każdym z nich jest jakieś ziarno mądrości. Taką widzę korzyść z przypomnianych teraz, i wciąż poruszających umysły, szkiców Zofii Stefanowskiej o Norwidzie – romantyku innym niż Mickiewicz, ale przecież romantyku.

*Lidia Burska*

### Mickiewicz i my

Nie ma chyba w literaturze polskiej autora, o którym napisano by więcej niż o Mickiewiczu. *Zarys bibliograficzny* z roku 1957 liczy 150 stron wypełnionych gęsto tytułami; dziś, po trzydziestu ośmiu latach ta liczba – gdyby wreszcie ukazał się tom Nowego Korbuta – wydatnie by się powiększyła. Mickiewiczem zajmowali się wszyscy liczący się historycy literatury, krytycy, językoznawcy, a także wielu historyków, artystów i pisarzy. Zrobiono więc sporo, choć – rzecz jasna – „tematu nie wyczerpano”.

Mickiewiczologia zatem stanowi szczególną dziedzinę literaturoznawstwa, a zwłaszcza historii literatury. Jej bogaty dorobek bowiem – jeśli nie obezwładni badacza – zmusza do ciągle nowych poszukiwań i eksperymentów. Innymi słowy ci, którzy piszą obecnie o Mickiewiczu, skazani są na tematyczną i metodologiczną innowacyjność. Nie przedstawia się to jednak tak prosto, albowiem w naszej zbiorowej polskiej podświadomości – kształtowanej przez szkołę i kulturowe wzory – wciąż istnieje silna presja związanych z Mickiewiczem stereotypów.

Autorzy książki *Balsam i trucizna*<sup>1</sup> (będącej plonem gdańskiej sesji naukowej z roku 1991) w pełni zdają sobie sprawę z tej sytuacji. Świadczy o tym już jej tytuł i okładka. Głowa Mickiewicza na zamieszczonym portrecie przyozdobiona została nie konfederatką bynajmniej, lecz monstrualnym kameleonem symbolizującym niejednoznaczność naszego stosunku do poety. To truje, to koi. Równie

---

<sup>1</sup> *Balsam i trucizna. 13 tekstów o Mickiewiczu*, red. E. Graczyk i Z. Majchrowski, Gdańsk 1992.